

Teksty Drugie 1992, 4, s. 7-19



Miłość wbrew przeciwnościom. Intelektualiści a państwo

Zygmunt Bauman

Tłum. Teresa Rutkowska

Zygmunt Bauman

Miłość wbrew przeciwnościom. Intelektualiści a państwo

Skoro grupa owa uskarża się na swój los, znaczy to, że istnieje.
Paul Valéry

Wiadomo, że niestety na pytanie: kim są intelektualiści? trudno udzielić zadowalającej odpowiedzi. Ale też właściwie nie sposób odpowiedzieć na pytanie, kto jest intelektualistą, w formie odznaczającej się względną skutecznością operacyjną. Pytanie pierwsze dotyczy roli, funkcji, usytuowania w systemie. Pytanie drugie zaś odnosi się do cech osobowościowych pozwalających ich nosicielom wypełniać wspomnianą rolę i zajmować wspomnianą pozycję (lub ich do tego uprawniających). Związek pomiędzy pierwszym a drugim pytaniem był od stu lat przedmiotem gorących sporów zarówno na płaszczyźnie teoretycznej, jak i w praktyce, która obalała wszelkie teoretyczne propozycje. Łatwo zrozumieć, dlaczego tak się działo, gdy weźmie się pod uwagę, że kimkolwiek są intelektualiści, to właśnie oni sami — i tylko oni — tworzyli definicje i je kwestionowali. Każda próba zdefiniowania pojęcia „intelektualista” jest próbą samookreślenia się; każda próba uzgodnienia lub zanegowania statusu intelektualisty jest próbą autokonstrukcji. Definiowanie i spory w kwestii definicji są jądrem autoprodukcji i autoreprodukcji. Istotnie, zgodnie

z parafrazą myśli Kartezjusza dokonaną przez Paula Valéry — użalają się na swój los, więc są...

Poza tym intelektualiści tworzą „mgławicę społeczną”. Ma ona cechy właściwe wszystkim innym mgławicom: „Im uważniej się w nią wpatrywać, tym bardziej zanikają jej kontury, a jej forma rozplywa się lub się przemieszcza”¹. Czego jednak Valéry nie uwzględnił, to tego, że jeśli chodzi o tę szczególną mgławicę, żadne spojrzenie z dystansu nie jest możliwe. Wszelkie relacje na jej temat docierają z wewnątrz i w większym lub mniejszym stopniu tam pozostają. Mgławica ta zawsze jest obserwowana z bliska; raczej domyślamy się jej konturów niż je postrzegamy. W końcu kontury te zakreśla się w sposób dowolny, i można się zastanawiać, czy w ogóle by istniały, gdyby ich uporczywie nie rysowano stale od nowa.

Pamiętamy, co powiedział Hegel: sowa Minierwy rozpościera swoje skrzydła o zmierzchu. Intelektualiści zaczęli postrzegać siebie samych jako intelektualistów (zamiast jako dziennikarzy, pisarzy, poetów, artystów czy profesorów uniwersyteckich) dopiero u schyłku XIX w., kiedy to wspólnota ich zadań (jeżeli w ogóle kiedykolwiek istniała) była już ledwie wspomnieniem i być może tylko snem. Ich widzenie siebie jako intelektualistów, i mówienie o sobie jako o intelektualistach, miało służyć połączeniu rozproszonych podówczas sił. Był w tym ukryty — pod pozorem rekonstruowania przeszłości — postulat na przyszłość. Był to też program zakamuflowany w formie swoistego „raportu o stanie gry”. Był to wreszcie przejaw dążenia to tego, aby uczynić tę grupę większą niż suma jej części składowych; aby jako zbiorowość uprawomocnić i wywalczyć mogła taką rolę, której nie dałoby się zredukować do wyspecjalizowanych ról zawodowych wypełnianych jednostkowo, aby wreszcie osiągnąć i utrzymać, również wspólnie, funkcję duchowego przewodnictwa w społeczeństwie, strażnika i cenzora jego wartości — czego ani poeci, ani filozofowie, ani aktorzy nie mogliby domagać się z racji swoich indywidualnych zalet. Ta przyznawana im dawniej funkcja została dziś utracona. Istnieje potrzeba jej przywrócenia — ale tym razem trzeba by ją wydrzeć z tych samych rąk, które niegdyś życzliwie ją dały. Zarówno wtedy, jak i obecnie, były to ręce Państwa.

Z zasady ambiwalentna współzależność warstw wykształconych i politycznych administratorów ustalonego porządku tłumaczy istniejącą

¹ P. Valéry *History and Politics*, transl. D. Folliot and J. Mathews, New York 1962, s. 80.

obecnie zbieżność pomiędzy dwiema pozornie sprzecznymi tendencjami, które skądinąd mogłyby wprowadzać nas w konfuzję. Z jednej strony obserwujemy na całym świecie niespotykane dotychczas podwyższenie statusu i wpływu tych wszystkich zawodów, które przez większą część naszego stulecia stanowiły wylęgarnię intelektualistów. Z drugiej strony, skłonność intelektualistów do samozadowolenia, do wsłuchiwania się we własne głosy, do przemawiania we własnym imieniu, do wołania o prawo kolektywnego wyrokowania o najdonioślejszych sprawach publicznych — jak należy sądzić, wszystko to zawiodło w ślepą uliczkę. Dużo rzadziej niż to bywało niegdyś słyszy się o nowych „manifestach intelektualistów”. Tylko sporadycznie udaje się im wskrzeszać poczucie ponadzawodowej, intelektualnej jedności, z reguły wówczas, gdy przywileje zawodowe są zagrożone i kiedy ktoś, kto przynależy do grona intelektualistów spotka się z niewłaściwym — w ocenie innych członków tego środowiska — potraktowaniem. Rzadko się zdarza, aby przedstawiciele rozmaitych grup zawodowych czuli się sprowokowani do opowiedzenia się po stronie zasad wykraczających poza ściśle intelektualne kwestie i zainteresowania. Z drugiej strony grupy te na co dzień i z urzędu zajęte są publiczną obroną swoich własnych, pieczołowicie wydzielonych sfer. Chirurdzy i konsultanci bronią szpitali, profesorowie bronią uniwersytetów, a nauczyciele — szkół, artyści domagają się większych funduszy na teatry, orkiestry symfoniczne i przemysł filmowy. W rozmowie z Alessandro Fontaną i Paquale Pasquino, po raz pierwszy opublikowanej w 1977 roku, Michel Foucault ogłasza odejście w zaświaty intelektualisty „uniwersalnego”. W odróżnieniu od „uniwersalnego”, intelektualista „wyspecjalizowany” „nie zwykł w pracy swojej odwoływać się do tego co «uniwersalne», «wzorcowe», «zawsze słuszne i prawdziwe», działa bowiem w obrębie «specyficznych sektorów», w «ściśle określonych punktach», wyznaczonych przez warunki życia i pracy”. Wymarły już dziś „intelektualista uniwersalny”, jak sugeruje Foucault, był niezależnie od swoich obowiązków zawodowych przede wszystkim pisarzem; ale „działalność pisarska” utraciła już swój prestiż.² Na scenę weszli „intelektualiści wyspecjalizowani”, którzy przede wszystkim są profesjonalistami — prawnikami lub psychiatrami, lekarzami lub specjalistami od spraw społecznych, pracownikami laboratoriów

² M. Foucault *Truth and Power*, transl. C. Gordon, w jego książce *Power Knowledge. Selected Interviews and Other Writings 1972–1977*, Brighton 1980, s. 126 i nast.

badawczych lub socjologami — bez względu na to, o czym piszą, i czy w ogóle piszą. Intelktualista uniwersalny był także potomkiem „jurysty lub w każdym razie kogoś, kto uosabiał uniwersalność sprawiedliwego prawa”. Intelktualista wyspecjalizowany, przeciwnie, jest „postacią zupełnie innego rodzaju” — stał się ekspertem. Jeśli działa na forum publicznym, „czyni to w imię «lokalnej» prawdy naukowej”. Intelktualiści uniwersalni właściwie wyginęli. Nadeszły czasy intelktualistów wyspecjalizowanych. Czy jednak oznacza to, że wyspecjalizowani intelktualiści zastąpili swoich uniwersalnych poprzedników? Czy przejęli ich funkcję, a więc zyskali prawo do ich tytułu?

Foucault zdaje sobie sprawę, że przypisywanie funkcji obywatelskich intelktualistom wyspecjalizowanym może być przyjęte z niedowierzaniem. Co więcej, łatwo temu zaprzeczyć wychodząc z założenia, że intelktualiści wyspecjalizowani zajmują się przede wszystkim zagadnieniami specjalistycznymi, które niewiele obchodzą społeczeństwo. A gdyby nawet było inaczej, to społeczeństwo nie poczuwałoby się chyba do obowiązku uczestniczenia w krucjatach prowadzonych przez profesjonalistów. Panuje też przekonanie, że intelktualiści ci służą ogólnie rzecz biorąc interesom Państwa i Kapitału, albo wężiej pojętym, nieco zaściankowym interesom zawodowym. Foucault upiera się wszakże, że „byłoby poważnym błędem niedoceniecie ich politycznej roli” na podstawie podobnych założeń. Nawet wówczas bowiem, gdy zajmują się oni wyłącznie swoimi „lokalnymi” prawdami, chcąc nie chcąc muszą wejść w kontakt z władzą polityczną, ponieważ porządek prawdy i porządek władzy pokrywają się ze sobą, a „prawda poza władzą nie istnieje”. Z tego też powodu polityka jako taka nie może być oderwana od rozsądku i prawdy. Spróbujmy zastanowić się nad „słabą” i „mocną” interpretacją głoszonej przez Foucault apologii profesjonalistów, podniesionych teraz zbiorowo do rangi intelktualistów, nawet jeśli są to intelktualiści wyspecjalizowani. Interpretacja „słaba” byłaby równoznaczna z twierdzeniem, że każdy przedstawiciel klasy wykształconej jest w taki czy inny sposób zaangażowany w dążenie do osiągnięcia, wyartykułowania i szerzenia jakiejś cząstkowej prawdy. Ponieważ zaś działalność owa jest polityczna z natury rzeczy, „uprawiają oni politykę” bezwiednie i z pewnością w sposób niezamierzony (tak jak Molierowski pan Jourdain całe swoje życie mówił prozą). Ale nawet jeśli tak jest, to trudno traktować „psychiatrów i eksperymentatorów” jako współczesnych następców i odpowiedników intelktualistów, odwołując się jedynie do ich „nie-

świadomej polityki”. „Silna” interpretacja sugerowałaby natomiast, że skoro wypełnianie przez praktyków ich czysto profesjonalnych zadań jest przyczyną permanentnego, jawnego konfliktu z władcami politycznymi i ich biurokratycznymi pomocnikami, to psychiatrzy, przedstawiciele nauk eksperymentalnych i inni uczeni eksperci nieuchronnie odkryją powiązania pomiędzy bliską ich sercom i umysłem prawdą „lokalną” a bardziej uniwersalnymi „rządami prawdy” ściśle z polityką złączonymi. Staną się oni wówczas „intelektualistami-dla-siebie” [*fur-sich*] i chwycą za broń w świadomej walce politycznej, włączając tym samym w orbitę swoich zainteresowań całość kwestii społecznych (zupełnie jak Lukácsowski proletariats, który czerpiąc naukę z zawsze partykularnych i lokalnych zmagani wyzbywa się „fałszywej świadomości” i przyswaja sobie prawdę o swojej misji dziejowej wraz z koniecznością totalnego zaangażowania). Ta „silna” interpretacja przybiera jednak formę empirycznej konstatacji, a więc musi być zestawiona z tym wszystkim, co wiemy o dążeniu współczesnych profesjonalistów do „osiągnięcia politycznej świadomości” i łączenia się w mniej lub bardziej zintegrowane siły polityczne. Dowody na to są skąpe. Wydaje się natomiast, że coraz wyraźniej daje o sobie znać dążenie przeciwne opisywanemu (lub nawet pożądanemu) przez Foucault.

O tej skrajnie odmiennej tendencji świadczy kondycja egzystencjalna „intelektualistów wyspecjalizowanych”. Przemiana intelektualistów „uniwersalnych” w „wyspecjalizowanych” oznacza dwie kluczowe zmiany w sposobie konstytuowania się klas wykształconych. Po pierwsze, przedstawiciele tych klas uważani są obecnie za ekspertów. Oznacza to, że nawet ci z nich, którzy mają bezpośrednio do czynienia raczej z mężczyznami i kobietami niż z przedmiotami materialnymi, wchodzą w stosunki z nie-fachowcami (ze „zwykłymi ludźmi”) nie jako nauczyciele, doradcy i opiekunowie, ale jako zarządcy: kierują ludzkim postępowaniem zgodnie z posiadaną przez siebie wiedzą, która ma jednak pozostać ezoteryczna i nie „oświeci” „obiektów” zarządzania. Dystans pomiędzy oświecającymi a oświecanymi musi (przynajmniej w teorii) ciągle maleć, aby w końcu zniwelować się zupełnie, a samo oświecanie definiowane jest jako proces budowania między nimi mostu. Tymczasem rozdział pomiędzy ekspertem i odbiorcą usług eksperta ma pozostać (zarówno w teorii, jak i w praktyce) na zawsze znaczny i nieprzekraczalny; w istocie każde kolejne wykonanie ekspertyzy uwidocznia coraz większą różnicę pomiędzy *know-how* eksperta a bezsilnością tych, którzy

uzależnieni są od jego wiedzy i działania. Po drugie, przedstawiciele klas wykształconych postrzegani są teraz jako specjaliści. Oznacza to, że wykonywanie zadań zawodowych dzieli ich zamiast łączyć. Każda specjalizacja musi pozostać czymś ezoterycznym, a w istocie ma być ściśle chronioną tajemnicą, tak aby mogła posłużyć jako instrument degradacji i izolacji „niewtajemniczonych” oraz ochrony „wtajemniczonych” przed intruzami z zewnątrz. I to nie tylko w stosunku do niewykształconych, ale także w kontaktach z innymi specjalizacjami, które stanowią teraz, rzeczywiście czy potencjalnie, konkurencję w stałym zmaganiu o korzystniejsze podziały skąpych zasobów. O ile pojęcie „intelektualistów” obejmuje stosunkowo jednolitą klasę realizującą wspólną misję i dążącą do zespolenia działań, to termin „intelektualiści wyspecjalizowani” wydaje się wewnątrznie sprzeczny.

Harold Perkin w swoim wnikliwym studium na temat historii profesjonalizacji i profesjonalizmu oraz ich wewnętrznych tendencji rozwojowych odkrył, że powszechna dziś postawa profesjonalistów wobec ludzkich „obiektów” ich ekspertyz jest wyrazem arogancji i pogardy myślowej.³ Zwrócił on uwagę na „kolektywną protekcyjność profesjonalistów w stosunku do tych, których postrzegają oni jako niepojętne masy, niezdolne do zrozumienia ich przesłania”. „Masy” to zbiorowy obiekt ich działań, a nie partnerzy do rozmowy. Obraz taki sugeruje, że mamy do czynienia z niemymi, nie umiejacymi się wyartykułować obiektami praktyki monologowej, jakby powiedział Bachtin. W końcu wykonywanie ekspertyzy pogłębia przecież tę zależność, wzmacnia „reifikację”, a dialogiczna relacja z obiektem wchodzi w rachubę jedynie pod groźbą utraty przez eksperta własnej pozycji. Tajemnica zawodowa, wymuszona albo przez określony kod zachowań, albo przez nieprzenikalną barierę ezoterycznego języka, stanowi najpewniejszą obronę wysokiego statusu i skuteczny sposób powstrzymania jakichkolwiek akcji, które mogłyby pozycję tę podważyć. Profesjoniści działają w życiu publicznym, ale konwersację nawiązują jedynie pomiędzy sobą, konstytuując tym samym innych profesjonalistów jako sobie równych i kwalifikując ich poza zreifikowanym układem, do którego należy reszta. Jednak Perkin nie wykrył, aby wzajemne relacje pomiędzy ekspertami były bardziej przyjazne niż ich kolektywna postawa wobec społeczeństwa. Aby dać wyobrażenie o istocie zażartej, braterskiej

³ Por. *The Rise of Professional Society. England since 1880*, London 1989, s. 390–398.

rywalizacji, sparafrazował Shawa: „Żaden profesjonalista nie może otworzyć ust, by nie narazić się na pogardę drugiego”. Każda grupa specjalistów robi co może, aby zdyskwalifikować autorytet innej grupy, zupełnie jakby postrzegała w dyskredytowaniu pozostałych ekspertów najpewniejszy sposób na podniesienie własnego prestiżu. Krytyka środowiskowa jest w całości przesiąknięta złą wolą i zawiścią, ma raczej szkodzić niż pomagać, natomiast opinia na temat innych specjalności — tych zwłaszcza, które są najbliższe własnemu terytorium — z reguły bywa w najwyższym stopniu lekceważąca i niszcząca. Tu Perkin odnotowuje, że „królową wszelkich nauk jest fizyka, chemia to tylko fizyka stosowana”; że „nauki przyrodnicze to nauka, a nauki społeczne są usystematyzowanymi przesadami”; że „ekonomiści mają do czynienia z faktami, politolodzy zaś biorą mnogość anegdot za dane naukowe”; że „socjologia produkuje sprawdzalne teorie, a historia to bezmyślny empiryzm”. Każdy z czytelników może bez trudu pociągnąć tę wyliczankę Perkinsa *ad infinitum*, nie wysilając nadmiernie własnej pamięci. Im mniejsze są środki finansowe uczelni, tym drożej kosztuje każdy moment nieuwagi i tym mniej serca okazuje się akademickim kolegom...

Od roku 1983, kiedy to Max Gallo, rzecznik Pałacu Elizejskiego, uskarżał się na „milczenie intelektualistów”, raz po raz zwracano uwagę, że ze sceny publicznej w takim to czy innym państwie zachodnim nie dochodzą głosy intelektualistów. Wszędzie rozprawiano o tym z zakłopotaniem przemieszonym z niepokojem. Wydaje się, że publiczne ogłoszenie własnej dymisji stanowiło akcent końcowy służby publicznej pełnionej przez intelektualistów pokroju tych, jakich pamiętamy z burzliwych czasów wielkich bitew ideologicznych. Są wprawdzie tacy, którzy przenikliwie dostrzegli, że owo wrażenie nieobecności jest wyrazem nie tyle milczenia intelektualistów, ile raczej braku zainteresowania społecznego tym, co intelektualiści mają do powiedzenia lub do zrobienia. Intelektualiści nie mówią mniej, są jedynie mniej słuchani. Być może ktoś mógłby odnaleźć (gdyby zechciało mu się szukać) pewną liczbę owych „partyzantów Absolutu” i nie mniejszą liczbę „terrorystów Relatywności” — w dwóch „ogólnych specjalizacjach”, w jakich intelektualiści tradycyjnie celowali. Ale być może, że potrzebę Absolutu odczuwa mniej ludzi niż kiedykolwiek, a jeszcze mniej dręczonych jest obawą relatywności... Można by się zastanawiać, co jest przyczyną, a co skutkiem: czy klasy wykształcone, zwiedzione urokiem i namacalnymi korzyściami nowych,

komfortowych biur, sprzeniewierzyły się swojej misji i przekonały społeczeństwo, że niczego nadzwyczajnego nie należy się po nich spodziewać? Czy też raczej zniechęceni członkowie tych klas wycofali się do swoich indywidualnych, zawodowych samotni, skłonieni do tego nasilającą się obojętnością czy wręcz rozproszeniem dawnych swoich zwolenników? Najbardziej prawdopodobne, że obecna „niewidzialność intelektualistów” jest łącznym skutkiem obu tych procesów. Chciałbym zwrócić uwagę, że procesy owe były psychospołecznym rezultatem i wyraźnym znakiem głębszej zmiany strukturalnej, jaką stanowiło przejście od nadzorujących do kuszących mechanizmów społecznej kontroli i integracji. Nadzorująca, dyscyplinująca, gnębiąca siła w rodzaju tej, jaką opisywał Foucault, była przez mniej więcej ostatnie pięćdziesiąt lat eliminowana, redukowana do obrony zewnętrznych granic rozwiniętego społeczeństwa konsumentów i do pozbywania się ludzkich odpadków, które w społeczeństwie tym w sposób nieunikniony się pojawiają. To samo dotyczy następstwa i naddatku tej nadzorującej władzy, tak nostalgicznie kontemplowanego przez Habermasa, państwa desperacko poszukującego „rzeczywistej” legitymizacji, państwa wymagającego, aby prześladowany miłował swojego gnębiiciela i aprobował ucisk. Dwa pokrewne atrybuty „klasycznej” polityki nowożytnej — przymus i mobilizacja ideologiczna — przyczyniały się do skolektywizowania warunków społecznych we „wspólną sprawę” i do upolitycznienia wynikających stąd strategii. Skargi i życzenia przekształcały się w programy polityczne, nieodmiennie kierowane pod adresem państwa jako najwyższego menażera i wykonawcę każdej efektywnej zmiany społecznej. Otwierało to szerokie pole działania „władzy intelektualnej” jako niezbędnego czynnika reprodukcji systemowej, działania, które polegało na artykułowaniu i upowszechnianiu „uniwersalnych (społecznych) wartości”, spajających interesy grupowe w „cele społeczne”. Ale to należy już do przeszłości, przynajmniej jeśli chodzi o formy opisywane retrospektywnie przez Foucaulta i Habermasa.

Dla większości członków społeczeństwa konsumpcyjnego ucisk jako czynnik decydujący o sposobie zarządzania i o praktycznych kwestiach życiowych jest stopniowo zastępowany przez nęcenie. Rynek konsumencki stanowi obecnie główny teren autokonstrukcji i samopotwierdzenia się, a także społecznej aprobaty prywatnych projektów. Sytuacja rynkowa różni się od sytuacji przymusu sprywatyzowaniem wysiłków, ich niepowodzeń i wynikającym stąd poczuciem krzywdy. Trzeba powie-

dzieć, że jest kwestią co najmniej sporną, czy rynek — w odróżnieniu od jawnego ucisku normatywno-nakazowej, nadzorującej i karzącej władzy — rzeczywiście prowadzi do zmniejszenia ubóstwa i konfliktów. Bez wątplenia wszakże konflikty, których źródłem są zawiedzione, rynkowo ukierunkowane nadzieje, łatwiej ulegają rozproszeniu i nie kumulują się tak silnie. Problemy społeczne, jeśli w ogóle dają się sproblematyzować jako wspólny program, mają z reguły charakter cząstkowy i lokalny. Bardzo rzadko prowadzi to do rozważań nad samą zasadą rynkowo ukierunkowanej prywatyzacji zadań i powinności lub do zakwestionowania wartości, które rynek konsumpcyjny realizuje i których wymaga. W odróżnieniu od układów nastawionych na pracę, w układach, które tworzą się w oparciu o preferencje konsumenckie, nie należy oczekiwać „motywacji obywatelskich”. Dywagacje zaś o wartościach wydają się pozostawać w nikłym związku z „realnymi problemami”, którymi wypełnione jest codzienne, zwyczajne życie.⁴ Dlatego też w sferze publicznej niewiele jest takich spraw, które mogłyby skłonić przedstawicieli wykształconej elity, wygodnie umoszczonych w swoich zawodowych zaciszach, do wyjścia na zewnątrz. Jak to już pokazaliśmy wcześniej, ich własne (sprywatyzowane, jak wszystko) interesy, tak jak i interesy innych grup, dość trudno ulegają kumulacji. Nieliczne tylko interesy zbiorowości zasługujące na miano spraw ogólnospołecznych byłyby w stanie przyciągnąć ich uwagę i skłonić do wzięcia na siebie zbiorowo roli przywódców duchowych. Dlatego też logika profesjonalizmu może funkcjonować w sposób niezakłócony i nieprzerwany. Russel Jacoby dokonał przenikliwej analizy wpływu profesjonalizacji na rozpad (i późniejszy zanik) nowojorskiego *milieu* intelektualistów. Niegdyśiejsi niezależni liderzy opinii publicznej objęli katedry na wydziałach historii, politologii lub socjologii. Są teraz szacownymi profesorami i przemawiają w salach wykładowych i na seminariach (choć głos ich wydaje się być nieco tłumiony przez mury i z rzadka przenika poza kampusy uniwersyteckie). Prawdę rzekłszy, „bycie intelektualistą wymaga dziś zamieszkania w kampusie”. Ale osiedlenie się w kampusie, jak sugeruje Jacoby, to więcej niż topograficzna zmiana miejsca: „O ile marksiści i radykalni krytycy przeszłości — tacy jak Lewis Mumford, Malcolm Cowley — nigdy nie oderwali się od społeczeństwa, taki

⁴ Obszerniej o tych sprawach piszę w moich książkach: *Freedom*, London 1988, oraz *Intimations of Postmodernity*, London 1991.

Jameson nigdy go nie potrzebował. Jego prace przeznaczone są na seminaria”.

W sumie „koledzy zastąpili społeczeństwo, a żargon wyrugował angielszczyznę”. Nie znaczy to, że stare rumaki bojowe całkiem opuściły pole walki. Skupiły się pod sztandarami akademickiej wolności, cieszącej się dalej największym mirem. Ale „dla wielu profesorów, na wielu uniwersytetach, wolność akademicka nie oznaczała nic innego, jak wolność bycia akademickim profesorem”.⁵ Romans kadry profesorskiej ze społeczeństwem, jeśli w ogóle miał miejsce — nabierał charakteru kazirodczego. Ich zmagania, często bezwzględne i okrutne, rzadko burzyły krew niewtajemniczonych outsiderów. Rozdmuchane w świadomości bojowników sprawy, o które toczono święte wojny, nie dotyczyły zazwyczaj rzeczy bardziej „uniwersalnych” niż dostęp do uniwersyteckich zasobów finansowych, stanowisk i wyróżnień.

We Francji Régis Debray wyznaczył koniec „cyklu uniwersyteckiego” (to znaczy okresu, w którym kariery uniwersyteckie rodziły się i załamywały przede wszystkim w obrębie akademickich instytucji) — na mniej więcej rok 1930. Według niego nastął potem „cykl wydawniczy”, zastąpiony koło roku 1968 przez „cykl mediów”. To, co wśród nowojorskich intelektualistów zdarzyło się w ostatnim pokoleniu, intelektualści francuscy przeżyli kilkadziesiąt lat wcześniej. Zamknięcie się w uniwersytetach stało się równoznaczne z wygnaniem do ezoterycznych siedzib, gdzie „koledzy zastąpili społeczeństwo”. Droga do rozgłosu prowadziła przez wielkie firmy wydawnicze, aby później skrócić w stronę mediów, a przede wszystkim telewizji. Przy każdej zmianie kierunku następowała głęboka zmiana reguł gry, standardów awansu, sposobów oddziaływania na odbiorców i funkcjonowania autorytetów. Najważniejsze zaś, że coraz to inni menażerowie okopani w różnych zinstytucjonalizowanych bazach pośredniczyli w intelektualnym oddziaływaniu lub sami nim kierowali. Już około roku 1930 wpływy te wyszły z rąk intelektualistów i stały się niezależne od kolegialnych ocen. Obecnie „to rynek ustala prawa”, a uniwersytety od dawna utraciły monopol na tworzenie opinii o intelektualistach, które wykraczałyby poza sale konferencyjne i doroczne zgromadzenia ezoterycznych profesjonalnych stowarzyszeń. Każdy, kto uznany zostanie za intelektualistę, skonstruowany jest, by tak rzec, na dwóch poziomach: *en bas, la légitimité (le savoir)*; *en haut,*

⁵ R. Jacoby *The Last Intellectuals*, New York 1987, s. 220, 167, 180, 119.

l'effectivité (le faire-savoir); na niższym poziomie — słusność (wiedza), na wyższym — skuteczność (*know-how*). Ważniejsza od świadectwa kompetencji lub uczonego tytułu jest umiejętność „rozruszania sprawy”, a o umiejętności tej nie decydują gremia akademickie. Okoliczności te musiały radykalnie wyrzucić tradycyjne kryteria społecznego oddziaływania. Niepotrzebna już jest *l'école* (szkoła), *la problematique* (problematyka), *l'enceinte conceptuelle* (przestrzeń conceptualna), a „ocena prawdziwości wypowiedzi niknie przy ocenie widowiskowych walorów wypowiadających się”⁶.

Debray określa cykl bieżący jako „mediokratyczny”: menażerowie mediów górują nad formacją „intelektualistów”, to znaczy nad tą częścią warstw wykształconych, która znajduje się na widoku publicznym i mogłaby wywierać wpływ. Jeśli nawet menażerowie ci nie mają pełnej kontroli nad treścią przekazu, to z całą pewnością decydują, jak mają być rozmieszczone akcenty, i pilnują, aby tylko te przekazy mogły być upowszechniane, które obdarzone są potencjalnymi „wartościami widowiskowymi”.

Niewątpliwie to, co dziś uważa się za zdecydowanie za wartość widowiskową (a mówiąc wprost: wartość rozrywkową) ewentualnych debat publicznych, zawsze miało niebagatelne znaczenie dla przyswajalności intelektualnych przekazów przez społeczeństwo. Pojawienie się mediów, wywierających decydujący wpływ na zainteresowanie odbiorców (a w istocie na społeczną wizję świata), zmieniło jedynie priorytety. Ale ta niewielka zmiana miała daleko idące konsekwencje. Manifesty intelektualne, te w każdym razie, które zostały napisane, uległy redukcji do poziomu innych „wiadomości codziennych”. Nikt nie jest w stanie zweryfikować ich względnej ważności inaczej, jak przez rejestrowanie opinii odbiorców (a ściśle mówiąc: widowni). Poruszana zaś problematyka, podobnie jak inne pozycje w mediach, musi potwierdzić swoją rację bytu wykazaniem zalet widowiskowych.

Zainteresowanie społeczne obecnie łatwo się wyczerpuje. Oczyszczanie pola dla nowych przedmiotów konsumpcji stanowi najtrudniejsze zadanie, przed jakim stoi ekonomia nastawiona na kształtowanie potrzeb i życzeń. Jest to również główna powinność, spełnienia której wymaga od państwa ta ekonomia (najbardziej znamiennego przykładu dostarczyła wojna w Zatoce Perskiej, która wybuchła zaraz po „zimnej wojnie”

⁶ R. Debray *Le pouvoir intellectuel en France*, Paris 1979, s. 99, 120, 97–98.

i której ważnym celem, a może i głównym motywem, była „likwidacja” zawartości przepelnionych magazynów zbrojeniowych). Wśród wielu dóbr rynkowych informacja stanowi ten towar, który najobficiej, najczęściej i najłatwiej można uzupełnić. Stąd kluczowe znaczenie zainteresowania społecznego, które w odniesieniu do informacji decyduje o ilości przyswajanych przez konsumenta informacji oraz o jego preferencjach (tak samo jak poziom seksualnego pobudzenia lub pragnienie aprobaty społecznej określa popyt na kosmetyki). Bez względu na samą treść przekazów intelektualnych i bez względu na stopień ich „obiektywnej” doniosłości, muszą one walczyć o swoje „miejsce na rynku” (to znaczy o utrzymanie zainteresowania odbiorców) z konkurencją, która działa wedle tych samych reguł gry. Jak i inne produkty, potrzebują one rzeszy ekspertów (specjalistów od reklamy lub „wydajnej sprzedaży”), aby zyskać szansę na sukces. Jak i inne towary, muszą przejść test rynkowy, wykazać, że dadzą się sprzedać. Sprawdzian ten bardziej niż inne czynniki rozstrzyga o udziale intelektualistów w życiu społecznym.

Kluczowe staje się przeto pytanie, jaka poważna tematyka (jeśli w ogóle jakakolwiek) ma szansę, aby taki test przejść, a więc aby zadowolić ekspertów rynkowych. Ory i Sirinelli⁷ mają słuszość, gdy twierdzą, że brak „wielkiej problematyki” to kiepska wymówka, skoro zgodnie z tradycją właśnie sami intelektualiści nadają wagę owej problematyce, wypisując ją wielkimi literami na swoich sztandarach oraz prośbą lub groźbą wymuszając na audytorium uwagę — taką, na jaką według nich zasłużyli. Ale to, co dotychczas było prawdą, nie musi być prawdą dzisiaj, w świecie, który odznacza się tym, że ruguje obyczaje nim zdążą one skostnieć jako tradycja. Intelektualiści, jeśli mają na to ochotę, mogą w dalszym ciągu wypisywać swoje hasła na sztandarach, ale nie są już w stanie zapewnić sobie zwolenników. Stawiane przez nich problemy stają się „wielkie” nie z uwagi na siłę argumentów, które za nimi stoją, ale ponieważ dobrze się sprzedają. Jest to jedyny element, nad którym intelektualiści panują, choć w niewielkim tylko stopniu. Mogą co najwyżej liczyć na to (i niemało z nich szczerze tym się cieszy), że menażerowie środków przekazu zwrócą się do nich z prośbą o ogłoszenie linijki lub dwóch tekstu według scenariusza nie przez nich ułożonego. Są wykorzystywani przez menażerów jako eksperci uczyna-

⁷ „Intelektualiście nie narzuca się reguł, to raczej on sam je określa, a w każdym razie decyduje o ich hierarchii” (*Les intellectuels en France*, s. 233).

jący nieco ze swojego ezoterycznego autorytetu „wartościom widowiskowym” przedstawienia. Tak więc każde publiczne pojawienie się intelektualisty wzmaga kolektywną „dezintelektualizację” intelektualistów jako pewnej kategorii: pogłębia istniejące podziały zawodowe i zawęża obszar, na jakim „rola eksperta” utrwała status i społeczny wizerunek klasy wykształconej.

Wraz z układem instytucjonalnym, który przynosi więcej kłopotów niż korzyści, maleją wyraźnie szanse intelektualistów ery postmodernistycznej na odzyskanie roli, jaką pełnili jako zbiorowość za powszechną aprobatą w szczytowym okresie modernizmu. Kilka lat temu, nieco skrycie i nie bez popadania w błąd hipostazy, André Gorz dał wyraz wynikającemu stąd poczuciu braku perspektyw: „w odróżnieniu od poprzednich, kryzys obecny niczego nie zapowiada”. Baudrillard, we właściwym sobie sposób, wyraził się jeszcze dobitniej: nie ma już nic „społecznego”, nie ma społeczeństwa, nie ma historii — toteż, z definicji, nie ma już intelektualistów. Oznacza to, że w przeciwieństwie do stosunkowo niedalekiej przeszłości, intelektualiści zgubili Archimedesowy punkt, na którym oprzeć można było lewary historii. Kolejne alternatywy tego, „co jest”, dyskredytowały się jedna po drugiej i trzeba je było odrzucić. Aby wizja ta stała się jeszcze mroczniejsza dodać należy, że nie mają oni teraz pewności co do kierunku, w jakim chcieliby historię ruszyć, nawet gdyby lewar okazał się na tyle silny. W tak wielu krainach snów przebywali i odnieśli tam tak wiele ran, że wszystkie marzenia uległy w ich oczach dewaluacji. Świat nasz to świat pogrążony w smutku z powodu braku pewności co do czegokolwiek, ale jest to też świat niepewny co do tego, „jakim celom owa pewność mogłaby służyć”. Jak mówi François de Closets, „tak w Moskwie, jak i w Paryżu poszukuje się odpowiedzi, choć nikt nie jest w stanie postawić sobie pytań”.⁸ Słynny Maj 1968 roku, witany jako historyczny rozrachunek pomiędzy tymi, którzy myślą, a tymi, którzy cierpią, wydaje się z dzisiejszej perspektywy raczej próbą generalną postmodernistycznego buntu bez powodu. Gdyby Wolter poprawiał dziś Kandyda — to czy zmieniłby zakończenie na: „trzeba po prostu oglądać telewizję”?

przełożyła Teresa Rutkowska

⁸ „Aby jutro kto inny nie wdarł się do naszego piekła” („L'Evenement”, 3–9 Janvier 1991, s. 52).